

LITERATURA HOLENDERSKA I FLAMANDZKA

JACOB VAN MAERLANT
(1235—1300)

Z «ŻYWOTU ŚWIĘTEGO FRANCISZKA»

...Iżę Flamandem jestem sam,
serdeczną prośbę do tego mam,
co tę mą niemieczyznę czytać będzie;
niech zechce baczyć wszędzie,
że słowa tu ładne się zdarzają,
których nie słyhać w jego kraju...

JOHANNES VAN RUUSBROEC
(1294—1381)

Z «KSIĘGI DWUNASTU BEGINEK»

Widzenie jest wiedzą zdala od światła,
Co poza wszelki rozum wylata;
Nie może bowiem do rozumu się zniżyć,
A rozum nie zdola aż tam się zbliżyć.
Promienna niewiedza to czyste zwierciadło,
Na które Bóg zsyła wieczne Swe światło.
Nie zawiera ni bytu, ani postaci,
Co kształt posiada, oparcie w niem traci.
Niewiedza wprawdzie to nie sam Bóg,
Lecz światło, abys Go widzieć mógł.
Kto, pełen niewiedzy, w Bożem świetle brodzi —
Co wiecznie-niepoczęte jest, znachodzi.
Niewiedza, acz rozumna, jarzma rozumu nie wlecze:
Dla niewiedzy wszystkie wyjaśnione są rzeczy.
Dziwienie się jest stałym na ziemi zwyczajem,
Przez życie widzące niezdziwieni się stajem.
Niewiedza widzi więcej, niż sama przeczuwa,
Pokrewna jest wszystkiemu i nad wszystkim fruwa.

Tłum. Alfred Tom.

ERAZM Z ROTERDAMU
(1467—1536)

Z «POCHWAŁY GLUPOTY»

...Gdyby śmiertelni stale unikali wszelkiego obcowania z mądrością i żyli jedynie wedle moich przepisów, nie znaliby wieku starczego i byłiby szczęśliwi, używając wiecznej młodości. Przyjrzyjcie się jeno mrocznym minom tych, co zagłębili się w stu-

djum filozofji lub jakich innych trudnych a poważnych zagadnień. Ludzie tacy zdają się już być starcami, zanim jeszcze wogóle byli młodzieńcami, jako że właśnie troski i bezustanna uciążliwa praca duchowa stopniowo uśmiercają siły żywotne i soki z nich wysysają. Moi zaś wierni poddani wyglądają krzepko, zdrowo i dobrze są odżywieni; możnaby ich wziąć, jak się to mówi, za dobrze utuczone wieprze akarnańskie. Z pewnością nie czuliby nigdy ułomności wieku starczego, gdyby od czasu do czasu nie zarażali się trochę od mądrych. Ale trudno! człowiek nie urodził się poto, aby na tym padole zaznać doskonałego szczęścia. Następnie mogą i dla siebie powołać się na znaczące świadectwo przysłowia, które orzeka, że jedynie głupota potrafi zatrzymać tak skądinąd niestałą młodość oraz czarami osadzić w miejscu szkaradny wiek starczy. To też jest najzupełniej uzasadnione to, co się zazwyczaj mówi o mieszkańcach Brabancji. Zamiast, jak inni ludzie, z biegiem lat nabierać rozsądku, okazują się jeno tem głupszy, im bardziej się zbliżają do starości; można też śmiało utrzymywać, że z żadnym innym narodem nie da się obcować równie przyjemnie, a także, że żaden inny naród nie cierpi mniej pod brzemieniem lat. Do tych przyłączają się moi kochani Holendrzy, którzy żyją w tej samej strefie i mają prawie te same obyczaje. Dlaczegożbym miała nie nazywać ich swoimi, kiedy są tak do mnie — Głupoty — przywiązani, że dzięki temu zasłużyli sobie nawet na przymiotnik, wysnuty z mego imienia? Nietylko nie myślą wstydzić się tego, ale poczytują to sobie za szczególny zaszczyt i tytuł do sławy. Mogą sobie arcygłupi śmiertelnicy wzywać Medei, Circe, Wenery i Aurory i szukać jakowegoś źródła, by znów stać się młodymi: dobra tego użyzyć mogą tylko ja jedna, i użyczam go też codziennie...

Tłum. Alfred Tom.

JOOST VAN DEN VONDEL
(1587—1679)

Z «NURTÓW RENU»

Renie czcigodny! w mój sen upowity,
Jakąż cię pieśnią wielbić się ośmielę?
Renieli twe źródła Alp widziały szczyty,
Rodzinne miasto u twych stóp się ścieli.
Europy sercem tobie być sądzono!
Brata straciłeś u progu istnienia,
Bo ledwo matki wydało was łono,
Już Dunaj bieg swój ku wschodowi zmienia —
I tak z lodowej wyrwanych pościeli
Los was rozerwał i ziemia was dzieli!

Germanów ziemię mrok nocy pokrywa,
A duch ciemności ponad nimi krąży.
Nagle Germanja do lotu się zrywa,
W karnych zastępach już do światła dąży.
Tyś wtedy, Renie, odważył się szczerze
Potężnym ciosem aż na Rzym uderzyć,
Kiedy Konstantyn i dzielni rycerze
Tybru potęgę i twą chcieli zmierzyć,
Wtedy też wydarł odwiecznemu państwu
Odwieczną sławę, wydarł ją pogaństwu.

Radości wtedy brzmiały pieśni wkolo,
Gdy odbierały wody twe chrzest święty,
A nawet Jordan chylił swoje czoło,
Gdy pod Chrystusa jarzmem stałeś zgięty.
Lecz nie tak twardy był krzyż Chrystusowy,
Jako ten ciężar, któryś wtedy dźwigał,

Gdy wielki Cezar swój zastęp bojowy
Rzucił na ciebie, wszędy śmiercią ścigał.
Pięćdziesiąt zamków, co Druzus budował,
Twój brzeg pochwycił, twój piasek pochował.

Jak swojej wiary ty dotrzymasz! Oto
Los cię miał wkrótce wystawić na próbę;
Lecz ty wyszedłeś tak czysty, jak złoto,
Kiedy Altyla dziki szerzył zgubę,
Gdy krwią przelaną wezbrały twe fale,
Gdy w twym łożysku z trupów wał wyrasta,
Gdy pychą pjanya on stąpa zuchwale,
Łupi i grabi popalone miasta,
Z pochodnią w rękę gdy toruje drogę,
Siejąc wokół mordy i pożogę.

Zdławiony tylko krzyk twa pierś wydała,
Na pomoc wzywasz niebo płomieniste,
A nie napróżno prośba twa wzlatwała,
Bo nadszedł Karol — i znów brzegi czyste.
On wygnał dzikie, obce szumowiny,
Wznowił, co niegdyś Konstantyn utworzył,
Wolne już teraz twoje są głębiny,
Zakwitło wszystko i kraj cały ożył,
A w reńskiej twojej okolicy możnej
Obrał stolicę ten rycerz pobożny.

Reniel przez ciebie młyńskie koła warczą,
Tyś budowniczym, splawu gospodarzem,
Państwa granicą i obroną łarczą,
Miłego wina ty jesteś szafarzem!
Spraw, niechaj młyny dadzą mi papiery,
Bym mógł twą sławę opiewać na wieki!
Wody twe budzą taki zapal szczery,
Tak moje zmysły pędzą w kraj daleki,
Że na twej fali jestem jak łabędzie,
Które liść winny nęci k'sobie wszędzie.

Tłum. Wł. Trąmpczyński.

Z «LUCYFERA»

Lucyfer:

...I ponad wszystkich niebios blask promienny,
Nad wszystkie sfery, ponad wszystkie szczyty
Tron mój wyniosę! Niebo niebios będzie
Pałacem moim; płaszczem strop gwiazdzisty,
Łuk tęczy — krzesłem, a podnóżkiem — ziemia!...
Ha, nim ustąpię, wprzódę ten firmament,
To mocne, dumne, wyniosłe sklepienie
Runie spękane i w proch się rozprysnie...
Wprzódę cudowna wszechświata harmonja,
Zwiczrzona, mętna, w chaos się pograży...

Zwycięstwo nie jest pewne, zmusić ich do odwrotu
Nielatwa rzecz; czyż mogę rozpocząć bój nierówny?...

Czyż stanąć mam na czele rokoszan i fałszywe
 Prawo przeciwko niebios świętemu głosić prawu?..
 Ha, z prostej obowiązku dalekom zboczył ścieżkil
 I Stwórcy się wyrzekłem! Lecz czyż przed światłem Jego
 Ukryję hańbę moją i czyny me występne?
 Nadzieja już stracona — otóż i wojsko Boże...

Tłum. Ignacy Matuszewski.

WILLEM BILDERDIJK

(1756—1831)

W SAMOTNOŚCI WIECZOREM

Oto już mi zniknąłeś, dniu pełen radości,
 Próżnobyć cię przywołać chciał tęsknoty siłą
 Z tobą zniknęło razem szczęście mej miłości,
 Jak słońce twoje jasne, co w morzu się skryło.
 W ciemności teraz oko pola nie dostrzega.
 Zimowej, smutnej nocy surowa bogini
 Sprawia, że ból miłości bardziej ci dolega
 I że serce cierpiące nieszczęśliwszem czyni.
 O, straszliwa ty nocy! Gwiazdy to mamidla!
 A wzrok mój tylko z gniewem wielkim ku nim bieży.
 Czemuż ty, nocy, wieszasz fałszywe świecidła
 Przy ponurej tej swojej żałobnej odzieży?
 Ja ich nie pragnę wcale, tych gwiazd, co wysoko
 Puste i czeze, i zimne błyszczą na twem niebie,
 Bo życia mego gwiazda — to Melindy oko:
 Jesteś błogosławiony, gdy spojrzysz na ciebie!
 Tak! szczęśny, komu gwiazdy miłosnych promieni
 Ani chmura nie zaćmi, ani mgła nie skryje,
 Komu blask jej męczarnie w rozkosze zamieni
 I komu w bólach nocy jeszcze luną bije.
 O, serce gorejące! Czemuś ty lękliwe,
 Kiedy noc swoim kirem tę ziemię powleka?
 Dlaczegoż ty się żalisz później, nieszczęśliwe,
 Że dzień jest taki krótki, tak szybko ucieka?
 A jednak to był słodki dzień, gdy w swojej dłoni
 Dłoń jej lubą trzymałeś i gdyś tulił drogą,
 Gdy tak słodkich całusów ona ci nie broni,
 Że aż sam nie wiedziałeś, iż tak palić mogą.
 Blask, co jej oczy siały, był ci życia treścią,
 Widzisz w nich los swój cały, w nich szukasz zbawienia;
 Wtedy tyś ją nakłonił zmiękczoną boleścią
 Do współczucia wielkiego dla twego cierpienia.
 Więc raczej teraz hamuj nad rozłąką żale,
 Nad tą długą rozłąką, co trwa aż do zorzy,
 Długie nocy godziny przebolej wytrwale,
 A nowe światło wkrótce radość ci otworzy.
 Zmiłowanie ci niesie ten dzień, który świta
 I który twe cierpienia z serca ci wypłoszy,
 Poranek cię znów w lubej objęciach powita
 I męczarnię twą zmieni na morze rozkoszy,

Tłum. Wł. Trąmpczyński.

HENDRIK CONSCIENCE

(1812—1883)

Z «PAMIĘTNEGO ROKU 1556»

... Chłopak odprowadził konie, i obaj Gezowie weszli do oberży. Wychylili kilka szklanek wybornego napoju i wśród żywej rozmowy rozważali wypadki dnia. Wtem spostrzegli, że przy pobliskim stole siedział człowiek w średnim wieku, choć zupełnie siwy, i przypatrywał im się smutnemi oczyma. Ubrany był ubogo, a zmarszczki na czole i przygnębiony wyraz twarzy zdradzały, że życie przedwczesnie zestarzałego nie stało się różami. Chwilami pochyłał głowę, by ukradkiem otrzeć łzy. Schuermans był dobry z natury i żał mu się zrobiło nieznanego, więc podszedł ku niemu i zapytał uprzejmie o powód smutku. «Szlachetni panowie», odrzekł tamten, «słowa wasze wbily mi sztylet w serce». — «Kto jesteście?» — «Nazywam się Louis van Horst». Gezowie ze złości uchyliłi kapeluszy: «Pozdrawiamy was, szlachetny mistrzu! Cześć wam, van Horst, sławny nasz współobywatelu!» — Smutny nieznanomy, który był znanym malarzem, uśmiechnął się na te oznaki szacunku. «Co wam zrobiono, panie, jaki jest powód waszego zmartwienia?» powtórzył pytanie Schuermans. — «Nie wiecie», rzekł mistrz, «jak bardzo artysta kocha własne dzieło. Każdy ojciec wylewa łzy, gdy widzi nieszczęście, grożące jego dzieciom, a i ja oplakuję los mych obrazów, które sławą opromieniły ukochaną naszą Antwerpję!» Gezowie zamienili szybko spojrzenia. «Życie spędziłem jak w gorączce, choć jestem młody, już osiwałem i twarz mi się pomarszczyła. A to dlatego, że całą duszę kładłem w to, com małował, by powołać do życia martwe płótno». — «Zaiscie, obawy wasze nie są płonne, niestety», rzekł Schuermans. «Myślę, że obrazy wiele ucierpią w dniach wojny i niepokoju». — «Zapewne», zaczął znowu malarz, «obrazy moje powyrzucają ze świątyń, jak wściekle psy rozszarpiają moje nadzieje, na zawsze wymażą me imię wraz z imionami innych, których kraj nasz wydał... cudzoziemcy pobierają strzępy mych płócien i zabiorą do obcych krajów». — Ludwik nie mógł oderwać oczu od malarza. Nigdy nie widział podobnie szlachetnego płomienia w oczach ludzkich. Stał wzruszony przed mistrzem i szukał słów serdecznej pociechy — lecz van Horst wiedział na pewno, że za dni kilka sekta obrazoburców rozpocznie bezbożne dzieło. «W kościele Najświętszej Marii Panny wisi mój obraz — pracowałem nad nim dziesięć miesięcy... żyłem zdala od świata, sam ze swoją sztuką... gorączkowa praca i zmęczenie skróciły mi życie... Lękam się najwięcej o ten obraz — prosiłem, by go umieszczono w miejscu bezpiecznym, ale nie chcieli słuchać — powiedzieli, że nie mam prawa rozporządzać się tem, com dobrowolnie sprzedał. Zmusiła mnie bieda, inaczej mój «Cierpiący Chrystus» nie opuściłby mej pracowni». — Schuermans i jego towarzysz zapewnili, że zrobią wszystko, co będzie w ich mocy, by uratować owo dzieło od zguby. — «Mam dość siły i odwagi, by bronić mego obrazu. Wszystko obmyśliłem. Gdy nadejdzie dzień grabieży, będę bronił mego «Chrystusa» z mieczem w ręku, gdyby jaka zbrodnicza dłoń nań się targnęła. Nie cofnę się przed rozlewem krwi. Nie, nie przeżyję mego obrazu ukochanego...»

Wstał dzień mglisty i chłodny. Na wschodzie kłębiły się chmury, zasłaniając niebo, słońce skryło się, jakby nie chciało oświetać krwawych scen, które miały nastąpić... Nikt nie przeczuwał wypadków dnia. Około siódmej zaczęły napływać masy ludu. Niby fale wzburzonego morza, zbierały się tłumy z miasta i okolicy. Rybacy rzucili sieci, rzemieślnicy warsztaty, niejeden spokojny obywatel wyszedł przez ciekawość na ulicę i nie wracał, pociągnięty rzeką ludzką. Wszędzie widać było zbrojnych. Od czasu do czasu ktoś wołał: Niech żyją Gezowie! — A motłoch podchwytował okrzyk i powtarzał bez końca. Największy ścisk panował na rynku. Magistrat, przewidując plany Gezów, poobstawił ratusz lucznikami... Nadchodziła ósma. Morze głów płynęło w kierunku kościoła Panny Marii. Partja Godmarta stanęła w środku głównej nawy, gotowa przelać krew w obronie świątyni. Dom Boży przykry przedstawiał widok. Broń dzwoniła o filary, tłuszcza głośno kłęła i wyla okrzyki na cześć Gezów...

W bocznej nawie wisiał cudnej roboty obraz konającego Chrystusa. Wielu rzucało nań złe spojrzenia, lecz nikt nie śmiał podejść bliżej: przed obrazem stał wysoki mężczyzna, siwe włosy spadały mu na ramiona, w rękę miał rusznicę, w oczach płonąła taka determinacja, iż łatwo było zgadnąć, że bez wahania strzeli w łeb każdemu, co się ośmieli podnieść bezbożne ręce na to dzieło sztuki.

Obrazoburcy otoczyli go kołem i rzucali nań kawałkami drzewa, by go wypędzić z tego miejsca, lecz on nie ustępował, i zdawało się, że jest nieczuły na uderzenia, jak i na słowa. Nagle ktoś zaszedł go z tyłu i przewrócił nawznak — rusznica wypaliła — jeden z napastników dostał cały ładunek w piersi.

«Na śmierć!» rozległo się, «zabijcie go!»

«Mój obraz!» zawołał malarz, «o! mój Chrystus ukrzyżowany!»

Podniósł ręce błagalnie do góry. Widział jeszcze, jak bezbożne dłonie dziurawiły płótno — w tejsze chwili sztylet Geza przebił mu serce. Ostatnim wysiłkiem podniósł się artysta, ale wnet padł martwy na strzępy swego obrazu.

(Przekład bezimienny, wyd. w Poznaniu, r. 1914).

NICOLAAS BEETS (HILDEBRAND)

(1814—1903)

GDY DZIECI PODROSNĄ

Gdy dzieci już podrosną, o! drogi przyjacielu,
 Ty będziesz miał spoczynek po troskach życia wielu.
 I chociaż włos zbieleje, twarz zmarszczką się pokryje,
 To i cóż w tem jest złego, gdy młode serce bije!

Trzech chłopców, cztery dziewczyn — to ładna jest gromadka,
 Najstarszy lat piętnaście, najmłodsze karmi matka,
 A nieustanna piecza jesienią czyto wiosną
 Jest stale twym udziałem. Lecz dzieci te podrosną!

Zamknięty dla przyjaciół, bo czas twój ci pożera
 Ten kłopot o twe dzieci i o nie troska szczerą;
 Paleta w kącie i książka, ni czytasz, ni malujesz,
 Niech tylko dzieci wzrosną, to wszystko powetujesz!

Poślubna moja podróż nie była długa zgoła,
 O! z domu do parafji, a potem do kościoła,
 I po dziś dzień nie znamy, co są te w świat podróże,
 Lecz kiedyś... Bóg dozwoli — gdy dzieci będą duże.

Do obcych dążąc krajów, pół szczęścia doznawałem,
 Bo myślą mą i sercem przy żonie zostawałem.
 Wróciłem wnet do ciebie i do tej małej rzeszy;
 Gdy dzieci nam podrosną — wycieczką Bóg pociesz!

Com znalazł w świecie, wskażę — piękności tych szeregi,
 Nad Ren cię poprowadzę i nad Mozeli brzegi,
 Zobacysz Szkocję, Francję, wszystko, co dusza marzy,
 Przepychy świata ujrzysz, gdy już będziemy starzy.

Gdy dzieci będą duże! Nie, nie patrz tak się zbliżka,
 Masz taki uśmiech, droga, że z niego lza przebłyska.
 Gdy dzieci będą duże!... Toć kres nastąpi przecie,
 A wtedy, ukochana, zakwitnie raj na świecie!

I większa, coraz większa ta dziatwa wyrastała,
 Lecz zanim jedna wzrosła, już druga przybywała.
 Witam cię, czwarty synku, przybywasz wporę w gości,
 I ty urośniesz duży w spokoju, szczęśliwości.

Z radością matka wita, więc bądźże ty bez lęku,
 Wszak tylu wychowała już ona na swych ręku.
 O, Boże! Nagle życia przerwały się ogniwa!
 Dzieci wzrosły, lecz matka już w grobie spoczywa.

Tłum. Wł. Trąpczyński.

MULTATULI (EDUARD DOUWES DEKKER)

(1820—1887)

Z «LISTÓW MIŁOSNYCH»

Do Fancy

Ktoś ty, drogie dziecko, kto? Jak się zwiesz? Kędy przebywasz?

Mam-że przyzywać cię imieniem z «Pieśni nad pieśniami»? — Byłażbyś Sulamitą ciemną? Jest-żeś lilją Saronu, czyli narcyzem doliny?

Objąć-że mam szyję twoją lewem ramieniem, a pieścić — prawem?

Mam-że ze spojrzenia twego czerpać poezję? Pieśń śpiewać na cześć twoich włosów?

Czyliż zobaczę cię dziś, jutro, kiedykolwiek? Czyliż dopiero po śmierci ujrzą cię moje oczy?

Jest-żeś przepychem, czyli też cnotą, rozkoszą, czyli genjuszem? Jest-żeś nieśmiertelnością? Pokojem? Przeszłością? Przyszłością? Aniołem, demonem, czyli też widmem?

Wieszczko, westalko, wyrocznio, Sybillo, Eperjo! Rafaela siostró, gdzie jesteś, kędy przebywasz?

Mam-że szukać cię w obłokach, czy też wśród ulic miasta?

Mam-że pytać straży, bram strzegącej: — Azali nie widzieliście onej, którą miłuje dusza moja?

Mam-że wyrzec zaklęcie, abyś spłynęła z wyżyn? Czarę użyć, byś się z głębin uniosła?

Czyliż przebywasz na planecie, ziemi podobnej? Wirujeż ojczyzna twoja, jak biegnie i wiruje moja ojczyzna, nie mając ni podstawy, ni szczytu?

Widzisz-że ty słońce, Fancy?

Byłażbyś ty sama słońcem, Fancy?

Jest-żeś owem centrum ziemi, centrum, które wszystko przyciąga?

Natenczas, Fancy, każda kropla dżdżu jest mojem do ciebie posłaniem! Natenczas każda błyskawica, po przestrzeni lecąca, ku tobie, Fancy, ku tobie moją poniesie miłość! Tak, tak, wyrzucę ten list na ulicę: pierwszy lepszy podejmie go z myślą, że kupi go za cenę miedziaka — lecz oto błyskawica wywiedzie go w pole!

Pisz mi, czy list doszedł! I przyślij mi pukiel włosów, Fancy, jeśli masz włosy, jak inne... Nie sądę...

Szósta historia o autorytecie

Oto urodziło się po raz pierwszy dziecko! Matka była w zachwycie, a i ojciec spoglądał na nie z serdeczną miłością.

— Lecz powiedz mi, Genjusz, czy zawsze pozostanie takie małe — pytała matka; po chwili zaś dodała: — Sama nie wiem, mam li tego pragnąć? Chciałabym oglądać w niem człowieka, a jednak żalby mi było, gdybym go ani nosić, ani piersią własną karmić nie miała!

— Dziecko twoje wyrośnie na człowieka — rzekł Genjusz. — Piers twoja niezawsze żywić je będzie. I niezawsze nosić je będziesz na rękach.

— O, Genjusz! — zawołała przerażona matka — czyliż odejdzie mnie dziecko moje? Czy oddali się, gdy chodzić potrafi? Co mam czynić, aby nie odeszło mnie dziecko moje, gdy już chodzić potrafi.

— Kochaj twoje dziecko — odparł Genjusz — a nie odejdzie cię.

I stało się tak. I było tak przez jakiś czas. Aliści dużo na świat przyszło dzieci. ciężyla wielu rodzicom miłość dla wszystkich dzieci.

Tak tedy wymyślono przykazanie, które miało zastąpić miłość — jak wiele innych przykazań. Łatwiej bowiem jest dać nakaz, niż miłość.

Cz c i j o j c a t w e g o i m a t k ę t w o j ą !

Dzieci opuszczały rodziców, skoro tylko umiały chodzić. Do nakazu dodano obietnicę:

A b y c i s i ę d o b r z e d z i a ł o n a z i e m i !

I n a t e n c z a s k i l k o r o d z i e c i p o z o s t a ł o p r z y r o d z i c a c h .

Lecz nie pozostały w myśl słów pierwszej matki i w myśl pytania, jakie zwróciła do Genjusza: «Co mam czynić, aby nie odeszło mnie dziecko moje, gdy już chodzić potrafi?»

I tak jest aż po dzień dzisiejszy.

Z «IDEJ»

P i g m e u s z

Opowiem wam, w jaki sposób przyszła na świat pokora.

Pigmeusz był bardzo małego wzrostu. Zależało mu wszakże wielce na tem, aby patrzeć z góry na innych. Lecz udawało mu się to nader rzadko, ponieważ taki był, niestety, mały.

Wybrał się w podróż, aby poszukać ludzi, mniejszych od siebie: nie znalazł. Żądza zaś patrzenia z góry na innych rosła w nim i stawała się coraz gwałtowniejsza.

Przybył do Patagonji; tu ludzie są tak wielcy, że noworodki patrzą z góry na rodziców.

Nie podobało się to Pigmeuszowi... u innych. Lecz, zwątpiwszy już o możliwości znalezienia mniejszych od siebie ludzi, wziął się na sposób. Wymyślił cnotę i ustanowił jako jej «pierwszy warunek: ktokolwiek jest większy od Pigmeusza, będzie się schylał aż pod poziom Pigmeuszowej twarzy». Nowość przyjęła się. Wszyscy Patagńczycy stali się cnotliwi. Jeśli znalazł się ktoś, kto, prosto chodząc, wykroczył przeciwko «pierwszemu warunkowi» Pigmeuszowej cnoty, karany był w osobliwy sposób. Rzucali się na niego wszyscy skrzywieni i cnotliwi i póty opornemu zginali szyję, póki twarz jego nie pochyliła się do punktu patagońskiej cnotliwości. Tego zaś, co całą Patagonję dźwigał na swych barkach, a nie chciał być cnotliwy, stawiano pod pręgierz z tablicą, na której było wypisane jedno patagońskie słowo: c z ł o w i e k t e n z a w a d z a ł P i g m e u s z o w i .

Przetłumaczywszy ten wyraz patagoński na nasz język, otrzymamy — p y c h ę .

Tłum. Marja Zabojecka.

DEFINICJA SPECJALNOŚCI

«Niechże nam pan, ale bez żartów, powie, co to jest specjalność».

«Nie żartuję nigdy. A i teraz nie będę żartował. Temat jest zbyt poważny.

«Specjalność to taki osobnik, który w ciągu całego życia zaniedbywał rzeczy conieniara, by wzamian osiągnąć stopień przeciętności przy wykonywaniu jakiegoś rzemiosła, uprawianego także przez innych. Specjalność to ktoś, co sam siebie oślepia przez uparte wpatrywanie się w jeden jakiś punkt... co sobie wyobraża, że ma prawo być lub co najmniej wydawać się krótkowzrocznym — wobec wszelkich innych rzeczy. Specjalność to...

«Ale w inny jeszcze sposób wytłumaczę państwu, co to jest specjalność... Czyście kiedy widzieli, jak zamiatają ulice?»

«Niedość często, jak należałoby tego pragnąć w interesie higieny. Ale bądź co bądź czasami!»

«Czyście wówczas, państwo, nigdy nie poczuli w sobie chęci wyrwania zmiataczowi miotły z rąk, by mu pokazać, jak to zamiatać należy?»

«Istotnie, często!»

«Otóż, wedle pojęcia, jakie macie, państwo, o zamiataniu — czy ludzie ci zamiatali dobrze?»

«Z ręką na sercu, klnę się na zbawienie duszy, na swoje szczęście i na spokój sumienia, wobec Boga i ludzi — nie!»

«Doskonale! Skorośmy to ustalili, pozwolę sobie zapytać państwa, czy sądzą, że podobny zamiatacz byłby zdolny udzielić wam porady prawnej, dzieci wasze wyleczyć z krupu, znieść długi państwowe, wynaleźć druk, odkryć Amerykę i t. d., i t. d.?»

«Z ręką na sercu, na zbawienie duszy i t. d. — nie!»

«Otóż więc! Ten zamiatacz ulic, który zamiatać nie umie, a który nie zna się na żadnym innym rzemiośle poza nie-umiejętnością zamiatania — to jest właśnie specjalność!»

DOBROTLIWY STWÓRCA

— Widzisz, synku, jak mądrze Opatrzność wszystko urządziła. Ptak składa jajeczka do gniazdka. Młode wyleżą akurat w tym czasie, kiedy dość będzie robaków i much, którymi mogą się żywić. A wtedy śpiewają pieśń pochwalną na cześć Stwórcy, który tyłoma dobrodziejstwami obsypał twory swoje...

— Tato, a czy robaki też wtedy śpiewają?

PLATON I TERSYTES

Platon był kiedyś silnie przeziębiony i kaszlał też odpowiednio. Tersytes naśladował to jego kaszlanie, a potem zapytał:

— Nie jestem-że teraz podobny do Platona?

Nie było to jeszcze najgorsze ze wszystkiego, pytać bowiem wolno każdemu.

Najgorsze było to, że tysiące odpowiedziały:

— Co do joty! Niech żyje Tersytes, nowy filozof!

Jegomość ten stworzył szkołę.

A przeto: cave, caveto, caveto: cavete, cavetote, caveunto!

Tłum. Alfred Tom.

CHARLES DE COSTER

(1827—1879)

Z «DYLA SOWIZDRZAŁA»

O dniu urodzenia Dyla

Pewnego dnia wywoływano z okien ratusza w mieście Brugji, ażeby mieszkańcy miasta ślali modły do Pana zastępów na intencję dostojnej pani, małżonki Karola-cesarza, w brzemiennej będącej stanie, iżby rychło a szczęśliwie powiła.

Drząc na całym ciecie, wstąpiła akuszerka Katarzyna do domu Klasów. «Cóż ci to, akuszerko?» spytał Klas. «Biada!» odrzekła owa w przerywanych słowach, «niniejszej nocy duchy, co koszą ród człowieczy, jakoby kosiarz trawę, pogrzebały żywcem dziewczynę pewną; na jej ciecie tańczył kat! Kamień, który pocił się krwawym potem przez dziewięć księżyców, rozpękl tej nocy!»

«Panie, zmiłuj się nad nami! Panie, zmiłuj się nad nami!» wzdychała Klasowa, «oto zły omen dla ziemi flandryjskiej». — «Aza widziałaś to na własne oczy, czy we śnie?» zapytał Klas. — «Na własne widziałam oczy», odrzekła Katarzyna. I bledsza od śmierci, ze łzami w oczach ciągnęła: «Oto dwoje urodziło się ninie niemowląt; jedno w hiszpańskiej ziemi, któremu na imię dano Filip, drugie w ziemi flandryjskiej, syn Klasa, zwanego «węglarzem», ten-ci zwan kiedyś będzie Dylem Sowizdrzałem. Filip stanie się katem ludu, bowiem splodził go Karol-cesarz, morderca Flandrii. — Sowizdrzał ów

zase będzie wielkim mistrzem wesołości i krotochwilnych figlów, lecz serca będzie statecznego i zacnego, bowiem Klas był mu rodzicem, dzielny robotnik, co w poczciwości i serca czystości na swój chleb powszedni pracuje. — Karol-cesarz i Filip-król przejadą konno przez życie i ludziom wiele złego przez wojny, ucisk i wszelaki występki wyrządzą. Klas, co przez tydzień cały pracuje uczciwie i w zgodzie z prawem żyje i śmieje się, miasto łyże ronić nad ciężkim swym trudem, będzie wzorem dzielnego robotnika flandryjskiego.

«Sowizdrzał nie będzie widział swej śmierci i zawždy młody pozostanie; cały świat przewędruje, a nigdzie na trwale się nie osiedli. Będzie chłopem i szlachcicem, malarzem i rzeźbiarzem, wszystkim równocześnie. Świat przewędruje, chwając rzeczy dobre i piękne, a kpiąc wesoło z ludzkiej głupoty.

«Klas oto jest twą siłą, szlachetny ludu flamandzki, jego żona jest twą dzielną macierzą. Dyl Sowizdrzał jest twym dowcipem, gładka i miła dziewczka, towarzyszka Sowizdrzała i, jako on, nieśmiertelna, będzie sercem twojem, a gruby kałdun, Maciek Brzuchacz, twym żołądkiem.

«Na górce oto będą oprawcy ludu, wdole ofiary; na górce złodziejskie trutnie, wdole zase pszczołki skrzętne; a hen w niebie krwawić będą Pana Chrystusowe rany».

Po tych słowach zniknęła Katarzyna, dobra wróżka.

Dyl zdiera maskę wrogom Flandrji

W dniu piętnastym sierpnia, w którym, jako w dniu Najświętszej Marji Panny Zielnej, święci się ziola i płody ziemi i w którym kwoczki, syte ziarn, głuche są na pianie miłosne zawsze pożądającego koguta, w dniu tym połamał pewien Włoch, pozostający na żołdzie kardynała Granvelli, krzyż kamienny, stojący w bliskości jednej z bram miasta Antwerpji. Z kościoła Marji Panny wyszła w dniu tym procesja, poprzedzana przez gromadę w zieloną, żółtą i czerwoną barwę przyodzianych błaznów. W czasie procesji jakowis nieznanymi lotrzykowie zbezczeszili figurę Najświętszej Marji Panny, którą wniesiono z pośpiechem znów na chór kościelny, poczem zamknięto kratę chóru.

Sowizdrzał wraz z Mackiem weszli za innymi do kościoła. Gromada młodych oberwańców, których nikt nie znał, stała przed chórem, porozumiewając się między sobą minami i sobie wiadomymi znakami. Wszyscy oni tupali nogami i wrzeszczeli, czyniąc w kościele tumult wielki. Jako ich nikt nie znał ani w mieście przedtem nie widział, tako i potem nikt ich już więcej nie obaczył. Jeden z nich, z gębą jakoby spalona cebula, pytał się tłumu, zali ona figura Marji tak się wielce przeraziła, iż do kościoła co prędzej powróciła?

«Ciebie się wierę nie bała, ty szpetny pysku afrykański!» krzyknął nań Sowizdrzał. A kiedy ów szedł z pięściami na Sowizdrzała, ułapił go tenże za kark, grożąc: «Dotknij mnie jeno, a padnie ci wypluć wnet z gęby twój ozór nikczemny!»

Poczem zwrócił się Sowizdrzał do poniekotórych znanych sobie mężów antwepskich, przytomnych w kościele, i rzekł, na onych lotrzyków czeredę pokazując: «Strzeżcie się, waszmościowie, onych judaszów. Kłamni to wierę Flamandowie, zdrajce, których wrogowie Flandrji kupili za grosze, by nam przez nich wszelkie zgotować kłęski i niedole».

I zaraz krzyknął do nieznanym drabów:

«Ejże, wy włóczykije, powsinogi wszawe, wyschle docna z biedy, skądże to dzwonią dziś w waszych dziurawych mieszkach talary? Zaliście wasze skóry już woprzód na bębny przedali?»

«Patrzcie ino, jakowy kaznodziejal» wołali obwiesie.

I znów pokrzykiwali, Najświętszej Pannie urągając:

«Spójrzenie, jak grzeczne szalki ma Marysial I nie byle jaką koronę! W sam raz przygodziłaby się na głowę mojej dziewuchyl»

Poczem wyszli przed kościół, jeden z nich wylazł na kazalnicę i mówił do ludu kazanie, pełne słów nieprzystojnych. I znów powrócili do kościoła, krzycząc:

«Marysiu, zleż-no sama nadół z chóru, zanim cię strącimy! Uczyni cud, byśmy naocznie widzieli, iż umiesz snadnie sama chodzić po ziemi, jako nosić się ninie każesz, próżniaczko!»

Sowizdrzał zasie wołał z całej mocy: «O, wy puszczyki obmierzłe, poniechajcie waszych mów bluźnierczych, bowiem będą one nam za zbrodnie policzone!» Aliści owi nie ustawali w bluźnierstwach, owszem poniektórzy radzili jeszcze nad tem, jakby to chór rozburzyć a zniewolić figurę, by nadół zesła.

Starucha niejaka, która sprzedawała pod kościołem świece, posłyszawszy te ich bluźniercze mowy, cisnęła im w gęby garnek gorącego popiołu, przy którym stopy grzała. Owi, mszcząc się, grzmotnęli babinę o ziem, pobiwszy i poturbowawszy niebogę srodze. I ninie rozzłoszczona gromada poczęła na dobre gospodarzyć w kościele.

Pewnej chwili pojawił się sam pan markgraf z pacholkami. Obaczywszy tłum owej gołoty, wyjść im przykazał z kościoła, aliści słowy tak łagodnemi, że jeno kilku nakazu posłuchało; inksi zasie wolali: «Wasza Miłość, chcielibyśmy owo wysłuchać wprzódy niesporu, odprawianego przez kanoników ku czci Marysi».

Na to pan markgraf: «Nieszporu dziś nie będzie».

«Sami go odprawimy», odpowiedzieli lotrzykowie. I wyśpiewywać poczęli swywolne wielce pieśni w nawach bocznych i w przedsionku kościelnym. Ponektórzy grali w kości, pokrzykując zuchwale: «Maryś, godzi się, byś sobie z nami w kości zagrała, jako że tam w niebie gra taka ci się nie przydarza, i bez ochyby nudno ci tam być musi». I lżyli tak bez nijakiego upamiętania wizerunek Najświętszej Marji Panny, wrzeszczeli, śpiewali i gwizdali.

Pan markgraf udał, iż się przeraził, i wyszedł z pacholkami swymi z kościoła. Na rozkaz jego zamknięto wszystkie bramy kościoła, nie pomijając ni jednej.

Lotrzykowie zasie poczynali sobie tem zuchwalej i krzyczeli coraz to głośniej, aż drżały mury kościelne, i wrzask, od sklepu odbity, huczał, jakby łoskot stu harmat.

Jeden z drapichróstów wstąpił na kazalnicę, właśnie ów, co miał gębę barwy spalonej cebuli, i skinąwszy na kamratów ręką, tako mówić począł: «W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, którzy są trójcą w jedności i jednością w trójcy, Panie Boże, ochroń nas w twym raju przed sztuką liczenia! Oto dnia dzisiejszego, sierpnia piętnastego, wysła z kościoła ta oto Maryśka w paradnej szacie i okazała swe drewniane liczko ichmościom szlachetnie urodzonym i mieszczanom miasta Antwerpji. Aliści podczas procesji napotkała imć pana szatana, któren, dworując z niej, tako rzekł: — Oto przystroiłaś się, niewiasto, dumnie, jakoby jej miłość sama pani królowa; czterej panowie niosą cię na ramionach, i ani spojrzeć ci ochota na biednego kusonogiego, któren jechać musi na szewekim zydlu. — Niewiasta odpowiedziała: — Z drogi, szatanie, jeżeli nie chcesz, bym ci łeb docna rozdeptała, żmiju, pełen złości! — Niewiasto, rzekł jej na to kusonogi, wszak ci to już piętnaście wieków na tem zajęciu zbiegło, wszelako duch pański wyzwolił mnie ninie. Silniejszy jam dziś wierę od ciebie, a przeto nie będziesz już deptać po mej głowie, jeno zatańczysz, jako ja ci każę. — I wziął kusonogi w rękę długi i giętki pręt i chłostać począł nim Marysię. Ona zasie ani pisnęła ze strachu, by nie okazać swej słabości, jeno tańczyć poczęła tak szybko, iż ichmoście, co ją na ramionach dźwigali, bieć byli zniewoleni w obawie, by im wśród tłumu z ramion nie spadła i nie zginęła wraz ze złotą koroną i inkszemi klejnotami. A ninie stoi sobie w swej wnące cichutko i pogląda ze strachem na szatana, któren oto tam wgórze na kolumnie pod małą kopułą siedzi, dzierżąc w rękę pręt, i natrząsa się z niebogi: — Zapłacę ci ja za krew i lży one, co płyną w twojem imieniu! Ejże, jakoż to się ma rzecz z twojem dziewictwem? Oto bliska już godzina końca twego panowania. Jeden udar toporem, a będziesz na dwie części przerabana, ty szkaradna drewniana kukło. Zginiesz za śmierć tych wszystkich kukiel z krwie i kości, co giną co dnia w twojem imieniu na stosie, na szubienicach, ano żywcem pogrzebione. — Tako rzecze kusonogi, a mówi słusznie. — Musisz przeto zleż z twej wnąki, ty krwie chciwa, okrutna maro, która nic zgola nie masz w sobie podobnego do syna twego Chrysta».

I zgrają łotrzyków chórem wrzeszczeć poczęła: «Kukło, kukło, koniec twoich rządów! Precz z drewnianymi bałwanami!»

A lud słuchał bluźnierstw w milczeniu.

Wtem na kazalnicy wstąpił Sowizdrzał, zrzuciwszy z niej za kark krzyżącego łotrzyka.

«Szaleni!» wołał do ludu, «głupcy, o tyle naiwni, że niezdolni widzieć ni o cal dalej od końca swego nosa! Aza nie pojmujecie, że wszystko to dzieje się za sprawą zdrajców naszej ziemi? Oni to chcą uczynić was świętokradcami, bluźniercami i rabusiami, ażeby wam jako buntownikom wypróżnić docna kieszenie, a potem brać was na tortury i na stosach żywcem palić. Nie dajcie żadnej wiary słowom tych puszczyków! Pozostawcie wizerunek Najświętszej Panny we wnęcie, odejdźcie stąd w pokoju, żyjcie dalej przystojnie i pożywajcie wasz chleb w czystości i pogodzie ducha. Szatan zguby już zwrócił na was swe chytne oko. Z okazji zbezczeszczenia i rabunku kościoła chce on przywołać przeciwko wam wojska nieprzyjacielskie i rzucić się na was, jako na buntowników. A wtedy obejmie rządy nad tą ziemią krwawy książę Alba i nękać was będzie inkwizycją, konfiskatą waszych majątności i śmiercią w ogniu»...

Łotrzykowie rzucili się na niego i usiłowali go strącić z kazalnicy, przyczem podarli na nim w strzępy odzienie i poturbowali go niemało. On zaś, choć twarz miał krwią zalaną, nie przestawał krzyżeć: «Nie ważcie się plądrować i niszczyć!» Lecz krzyk jego był głosem wołającego na puszczy. Łotrzykowie, a za ich przykładem wszelaka miejska gołota, rzucili się na kratę i połamali ją, wrzeszcząc przytem: «Niech żyją Gezowie! Górą żebracy!»

I cały ten tłum począł łamać i niszczyć wszystko, co mu w ręce wpadło. I zanim północ wybiła, wyglądał kościół, w którym było siedemdziesiąt ołtarzy i wiele pięknych malowideł, i ozdób kunsztownych, jakoby pole bitwy, zasłane li szczątkami i gruzami.

Tłum. Przechław Smolik.

GUIDO GEZELLE

(1830—1899)

Z «DROBNYCH WIERSZY»

Pszczola robi miód, pajak przedzie pajęczynę, kwiat wylania swą woń, a gwiazda błyszczy. Słońce miota dobroczynne swe promienie, księżyc sieje błogi blask. A ja, Stwórco mój, daję me serce i mą pieśń.

MOJE SERCE...

Moje serce jest jak kwiat. Otwarte — chłonie promienie słońca. Stulone — dręczy się, kruszy i schnie. Moje serce jest jak zieleni, którą orzeźwia rosa poranna... Jak zieleni, która pod wieczór chyli się, znużona życiem, pełna pyłu — troski. Moje serce — jak owoc, którzy dojrzewa w cieniu, nim go strąci ostra ręka jesieni. Jak gwiazda spadająca, co iskrą pruje wysokie sklepienia niebiosów i gaśnie w mgnieniu oka. Moje serce... jest chore! Jego radości są znikome. Lecz niech bodaj przez jedną chwilę poczuje się lepiej — i oto znów dniami całemi gotowe cierpieć głód.

Z «WIEŃCA ROKU»

Miesiąc wielkanocny

Czy jeszcze śpicie, białe cierniste gałęzie twardego płotu? Czy nie wiecie, że poziera już na was rozbudzone słońce? Czas witać dzień. Wschód rozbłyska... Niechże się ockną ze snu wszyscy, którzy chcą złożyć hołd słońcu lata. Rozewrzyjcie, ciernie, swoje ściśnięte kielki, rozchylcie srebrne kadzielnice kielichów. Niedosć, że rubinowe igły wyblęskły tu i tam na końcu splełanych waszych włosów! Mało mi, że członki wasze, nabrzmiałe wzrostem, czerpią sok ziemi. Winnyście, krzaki cierniste, puścić

liście i kwiaty, ulać woni kielichów, rozkwitać! Czy jeszcze śpicie? Przebudzenie ogłoszą śpiewacy chwałbą radosną, już slychać ich pieśń przenajslodszą... Woda wzdycha, rozśpiewały się niebo i ziemia, lętnią równiny miłosne! Wszystko wszystkiego pragnie, och! płoty cierniste, czy jeszcze śpicie?

Śluchajcie...

Śluchajcie, jak śpiewa zboże. Niemasz harfy tak dźwięcznej. Cichy szept życia bieży na pól powierzchni. Płynicie hen, płynicie, wiotkie kłosy, wy, karm wieśniaka. Nagle. Nagle — Rycerzel!!! Ich tłum ponury sunie po ziemi, niczem okręt, fale prujący. Lecz oto znikają rozpędzone fale nawalniczy.. We mnie i wkoło mnie rozjaśnia się wszystko długim słodkim uśmiechem za wszystkie cuda, które ogląda słońce — przy Niej zwycięstwo — nie oddalbym mej Flandrij!

WYKLĘTY

Patrzcież, jak skromną swą zielenią zasłania oset kamienie i niedogryzki, któremi mieszczuchy bezczeszcą wieś. Patrzcie, jak wkoło każdego kwiatu rozbłyska niepokalana kryza, skąpana w świeżej rosie. Szorstkie kielichy ostu, powleczone pajęczyną koronek, drząc w żarach słonecznych, za każdym powiewem łyskają brylantowym pyłem. — Wyklęty przez prawo, królewskiemu dekrety wyswiecony — przecież żyjesz! Napróżno od wieków niszczyć chcą powszędy twój siew! Ach, wyklęty — nigdy tobą nie pogardzi moje flamandzkie serce...

EGO VIGILABO

Słońce, radość ziemi i ludzi, radość skrzydlatego tłumy harfiarzy niebieskich — odeszło. Głębokie ciemności panują wszędy. Oto stłumiły już śpiew i dzień. Lecz we mnie żyje wciąż świetlisty głos. Lecz we mnie ktoś słucha, mówi, ktoś, kogo nie zatrzyma, ni dzień, ni śmierć, ni mrok... Ktoś, co idzie ku mnie przez kamień i żelazo i mówi do mnie w czasie mego snu: Czuwam...

Tłum. prozą Juljusz Kaden-Bandrowski.

HERMAN J. A. M. SCHAEPMAN

(1844—1903)

VONDEL

Dumny, piękny Amsterdamie,
Przesuń się przed okiem mem
Ty, coś niegdyś w siebie chłonał
Wszystkie skarby wszystkich ziem!
Wstań, północy ty Wenecjo,
Zmierzczyłych wieków odchył grób,
Mglę przeszłości w dziennym blasku
Zerwij, ulóż u twych stóp.

Ukaż nam się pełna siły,
Dawnych wieków przepych wdziej,
Niechaj wstaną twe mieszczany,
Dumni tak z potęgi swej;
Bo choć życie wre dziś w tobie
I nieprędki zimy wjazd,
Przecież nad młodości dniami
Najpiękniejsza świeci z gwiazd.

Twe drzemiące obudź syny,
Niderlandów dumę, skarb,
Tych, co Rembrandt ich uwiecznił
Czarodziejstwem swoich farb.
Wszystkim, którzy ci koroną,
Wdzięczna uchyl twoich bram
I przywołaj twego piewce —
Jeszcze Vondla zwołaj nam.

Vondell! Wieszcz to niezrównany,
Dusza pełna pieśni, barw,
Jakby echo dziękczynienia,
Co z eolskich płynie harf;
Wieszcz, co zakuł w ziemskie kształty
Ideału wieczny szczyt
I pobożnie uznał niebo
Za jedyny prawdy świt.

Tylko wieszczom prawdę badać,
 Idealy mędrców znać,
 Bez mgieł wszelkich, bez obsłony
 Najjaśniejszy promień brać!
 Tylko wieszczce mierzą ziemię;
 Co nam skryte — widne im!
 I szybują na przestworza,
 Gdzie nie kazi ziemski dym.

Prawdę poznać, wiecznie piękną,
 Jej koroną zdobić skroń,
 Płomieniami ją otoczyć,
 Jakie niebios chowa ton;
 Prawdę poznać i rozbudzić
 Zagrobowy życia brzask —
 To genjusza dar jest wzniosły,
 Najpiękniejsza z boskich łask.

Dumny, piękny Amsterdamie,
 Przesuń się przed okiem mem,
 Wstań ty, perło, zdobna w laury
 Niderlandów sławy ziem!
 Ukaż mi się — niech powiewa
 Mgła przeszłości u twych stóp,
 Ukaż dawne twe mieszczany!
 Otwórz Vondla zimny grób!

Wtedy zabrzmią wokół dźwięki
 Tego wieszca, niby dzwon,
 I uderzą ci z przeszłości
 Z obecnymi w jeden ton;
 Bo choć śmierć nad światy rządzi
 I nad wszystkim władzę ma,
 Jeden genjusz nie umiera —
 Wieszcz prawdziwy wiecznie trwa!

Tłum. Wł. Trampezyński.

JUSTUS VAN MAURIK

(1846—1904)

Z «POPIERSIA MULLERA»

Nie stało Mullera; poeta, natchniony wieszcz porzucił ziemską leż dolinę. Gazety, obwiedzione czarną ramką, obwieściły, że Jan Fryderyk Adalbert Muller umarł. Niemcy i Niderlandy spierały się o zaszczyt, że były mu kolebką, ale Niderlandy zwyciężyły, gdyż Muller nie miał dwóch kropek nad swoim «u», nadto dowiedziono, że przed tym Mullerem żył inny, który gdzieś w Holandji bułki wypiekał i był zapisany w księgach stanu cywilnego, jako ojciec naszego wieszca. Jęk żalu rozległ się po całym kraju i ozwał się echem w sercach tych, co znali jego i jego dzieła. Za życia wielu miał wielbicieli, inni wzruszali ramionami, by okazać, że nie widzą w jego dziełach nic nadzwyczajnego, inni jeszcze z żartobliwym uśmiechem milczeli, tem wymowniej wyrażając przez to, że autor niewiele, a dzieła jego mniej jeszcze warte. Nagle po jego śmierci wszyscy ze wzruszającym smutkiem godzili się na to, że jeszcze się nigdy w Niderlandach nie urodził taki Muller i pewnie taki nigdy nie umrze. Nikt nie śmiał już nie zmarłemu zarzucić, gdyż krytyk pierwszego dziennika literackiego nazwał Mullera jedynym prawdziwym wieszczem Niderlandów, a krytyk był niezwykle zdolny, jak mówiono — wiadomo przecie, że opinja ma zawsze rację. Nakładcy poezyj Mullera robili świetne interesa przez dodanie na nierozprzedanych egzemplarzach: «wydanie drugie», a publiczność przez cześć dla wieszca skwapliwie to «drugie» wydanie rozchwytała. We wszystkich księgarniach wisiały fotografie gabinetowe zmarłego... Utworzył się komitet, by na grobie Mullera wzniesć pomnik «skromny, jak sam poeta», bliźni zaś przyjaciele zmarłego dla uczczenia jego pamięci przesadzali wysokość jego długów: Muller pod każdym względem był poetą i pozostawił tyleż przynajmniej niezaplaconych rachunków, ile wierszy. Nigdy tyle nie zajmowano się poetą, jak odkąd chłodna ziemia garnęła jego gorące serce. Modą się stało okazywać żal po zmarłym; zdawało się, że publiczność jest rada ze śmierci Mullera, która przecie dawała sposobność do objawów czci dla popiołów znakomitego męża. — Nic zatem dziwnego, że pan Giovanni Capelli, włoski fabrykant popiersi i posążków, wpadł na myśl, by kazać zrobić popiersie nieodżałowanego mistrza i puścić je w handel. Pan Giovanni Capelli był duchem przedsiębiorczym, człowiekiem genialnym, jak się sam o sobie wyrażał. Właściwie nazywał się on Jan Haar, ale gdy przejmował swój handel figur gipsowych od prawdziwego Piemontczyka, błysła mu genialna myśl, aby nazwisko swoje przetłumaczyć na język włoski. Giovanni Capelli brzmiało przecie o wiele lepiej, niż Jan Haar, i podnosiło wartość towaru przynajmniej o trzydzieści procent...

Szkic popiersia stał w pracowni; właściwie był to więcej niż szkic, tak dokładnie był obrobiony. Capelli miał przyjąć tego dnia z kilku przyjaciółmi celem osądzenia, jak wypadło podobieństwo. — Bruin zdjął był płachtę z popiersia i uważnie przyglądał się swej pracy, tu i ówdzie dodając lub odejmując kawałek gliny i wygladzając szpatełką. Sam zadowolony był ze swego dzieła, nie mógł jednak wiedzieć, czy podobieństwo jest zupełne. Obok niego stała matka z kotem na rękę i mruczała coś pod nosem...

Na schodach rozległ się odgłos ciężkiego stąpania i sapania, i w towarzystwie Giovanniego Capelli weszło czterech panów do pracowni. «Pff, pff, co za wieża! Wejdźcie, panowie». — «Strasznie wysoko». — «He, he». — «Panowie pozwolą, że ich przedstawię. Mój przyjaciel Juljusz Bruin, rzeźbiarz, wielce obiecujący talent — pan Drogers, literat, pan Coquenard, obywatel, pan Assman, krytyk «Gwiazdy Porannej», dr. Operling, recenzent «Zwiastuna Sztuki», sam ceniony poeta»...

«A jakaż pańska opinja, panie Assman?» — spokojnie i skromnie zapytał Bruin. — Wielki krytyk siedział ciągle w tej samej pozycji i na oko wydawał się pogrążony w rozpatrywaniu popiersia. Nie dał on żadnego znaku nagany lub pochwały w czasie, gdy przemawiał pan Drogers; teraz wolno zwrócił głowę w stronę Bruina i z westchnieniem, jakby budząc się z głębokiego zamyślenia, rzekł wolno, na każde słowo kładąc potrzebny nacisk: «Pozwól mi pan przedewszystkiem powiedzieć, że co się tyczy wykonania modelu «l'oeuvre», dzieła, pojmuję mnie pan, uważam je za pełne zalet; widzi pan, że nie postępuję, jak wielu z moich kolegów, cenię pańską umiejętność». Assman wyciągnął wskazujący palec prawej ręki. «Widzi pan, w tem jest coś — pan to sam wie dobrze — to coś, co hm! to coś, co, gdyby było w większej ilości, każałoby nam zapomnieć, że mamy przed sobą tylko bryłę gliny; ale co się tyczy podobieństwa, to ja, który często widywałem nieboszczyka, powiedzieć muszę: to nie on!» — Doktor Operling, posępnie patrząc przed siebie, pokiwał głową i nie rzekł ani słowa. — «Ach!» rzekł Giovanni. — «To zupełnie nie on!» — «To kategorycznie powiedziane, panie Assman». — «Właśnie, panie Bruin, taki mój zwyczaj; nie owijam swej opinji w bawelnę — sądu nie wydaję, póki nie jestem najmocniej przekonany, że mogę sądzić obiektywnie, bez oglądania się na osobę, bez stosowania się do jakiegokolwiek rodzaju względów, i dlatego mówię teraz: to nie Muller». — «A czegoż mu brak, panie Assman?» — «Czy pan, jako artysta, nie czuje, co mam na myśli?» — «Nie, jeszcze nie». — «Niech mi pan pozwoli powiedzieć, czego — dla mnie — brak w tem popiersiu». — «Bardzo proszę». — «Widzę przed sobą portret w rzeźbie; może on i podobny co się tyczy nosa, uszu, ust, czoła, enfin, zewnętrznych form, te w tej chwili zupełnie zostawiam na hoku...» — «Ale, proszę pana, to właśnie forma, która...» — «Nie, daj mi pan skończyć, panie Bruin, musisz mnie dobrze zrozumieć — ja wnिकam głębiej od innych — ja szukam psychy — a tej nie znajduję w tem popiersiu — brak mi w niem duszy!» — «Duszy?» — «Tak jest! Wysoce utalentowanego wieszca znalazłem lepiej może, niż go znało wielu innych, poezjami jego delektowałem się, panie Bruin; gdy inni szydzili z niego, ja zawsze wysoko podnosiłem jego zasługi, bo znalazłem i ceniłem piękną jego duszę. Wyprzedził on swoją epokę, był poetą śmiałym, który radykalnie zerwał z rymem i rytmem, dusza jego przebijała się w jego sonetach, odach, balladach... enfin, we wszystkim, co pisał... i gdy się nań patrzyło, oblicze jego było u d u c h o w i o n e. Forma była dlań niczem, o treść nie dbał — piękne myśli swe wypowiadał obrazami, tak jak powstawały w jego potężnym umyśle. A tego nie widzę w bryle szarej gliny, stojącej przede mną; tak jak ja go tu widzę, nie jest to jego wielka niezależna dusza; wygląda, jak każdy inny, jak człowiek zwykły!» — «Bo też oblicze jego jest bardzo banalne!» — «Pardon! tak jak to widzi pan i wielu może innych, jest zwyczajne, na to się zgadzam, ale wy też patrzycie zwyczajnie. Enfin, jeśli pan nie rozumie, nie czuje, co przez to myślę, to ja panu tego wytłumaczyć nie mogę; ale to nie Muller. Nie może pan więcej duszy w to włożyć?» — «Nie mogę go zrobić innym, niż był». — «Ależ on takim nie był, panie Bruin, czy nie masz pan sposobu, aby uwydatnić w nim więcej wielkiego poeetę?» — «To będzie trudno! Mogę jedynie oddać formę...» — «Aha! tum pana złapał! Właśnie o to idzie; formal formal co mnie obchodzi forma, jeśli chcę nabyć biust wieszca na pamiątkę — a przecie

w tym celu puszcza się go w handel, nieprawdaż, panie Capelli? — Nie chcę wtedy widzieć człowieka z krwi i kości, lecz poetę — a poetą z Bożej łaski był Muller — wielkim genjuszem». — Doktor Operling ze skrzyżowanymi rękami patrzył posepnie na popiersie i mileżał. — «Oh, sans doute, un génie!» przerwał monsieur Coquenard, nagle zatrzymując się w swej eksploracyjnej podróży po pracowni. «On była wielki génie, un homme admirable, zawsze zamysłona, bardzo distrait... Jak przychodził do mon magasin, ja zaraz mówił: Bonjour, monsieur Mullera, znów parasol zapomniał — zgubił, oh!» — «Co to znaczy?» — «Eh, monsieur Bruin! simplement, że Mullera zawsze przychodził kupować nowy parasol. Monsieur le poète Mullera zawsze zgubił swój parasol — ja le pauvre homme przedał wiele set parasol». — «No to go pan musiał dobrze znać». — «Ależ, panie Coquenard», przerwał ostro pan Assman, «jaki możesz pan upatrywać związek między parasolem a jego genialnością?» — «Hommes de génie zawsze mają krótką pamięć, zawsze zapomina to to, to tamto...» — «Ale to przecie nie ma nic wspólnego z podobieństwem tego popiersia; to nonsens! — «A dusza, o której pan mówi? Jeśli mam juger, czy podobny do swego biustu, czy nie, ja nie musi patrzeć na jego dusza, a na nos, usta, oczy, en un mot, ja musi inspecter la matière, nie l'imponderabilité, nie la qualité psychique; wybacz pan, ale to, co mówisz o dusza, większy nonsens, niż mój parasol». — «Co pan mówi?» Oczy Assmana błysnęły gniewem. — «Nic nie mówię! Pan jest może plus savant, jak ja, ale a miał więcej bon sens!...» — «Panie Bruin», rzekł Capelli, «wdzięczni jesteśmy za przyjęcie, żałuję bardzo, że rezultat naszych odwiedzin nie wypadł pomyślniej. Musi pan coś zmienić w nosie Mullera, bo chociaż ci panowie bardzo różnili się w opinjach, w tym punkcie wszyscy na jedno się zgodzili: nos poety nie nie wart, w tem tkwi kardynalny błąd». — «Oui, ja myślę, że on miał więcej taki nos...» pan Coquenard wskazującym palcem uniósł koniec swego organu powonienia. — «Zadarty nos? Niema mowy o tem!» rzekł Bruin, uważnie porównyując popiersie z fotografią. — «Nie, nie! raczej grubszy, większy. To dobrze sobie przypominam, Muller miał coś szczególnego w swym nosie — ale co to było?» — Uczony pan Drogers wzruszył ramionami, naciągając rękawiczki. Dr. Operling rozłożył ręce, zmarszczył czoło, jeszcze raz z westchnieniem spojrz na popiersie i uściśnął rękę Bruina na pożegnanie. — «Pardon», rzekł Bruin, «pan jeszcze nie wypowiedział swej opinji. Czy uważa pan, że Muller podobny?» — Wtedy dopiero, zwołna cedząc wyrazy, dr. Operling przemówił: «Nie znalazłem go wcale», rzekł, «wprawdzie znam jego utwory, i jeśli po nich mam sądzić, mógł on tak banalnie wyglądać. Bonjour!...» — «Uf!» odetchnął Bruin, gdy panowie pracownię opuścili. — «Piu, fiu! co za uczoność, nie z tego nie rozumiesz — ten chce w tem widzieć, czego widzieć nie można, nie widzieć tego, co odczuć można — djabeł coś z tego zrozumie...» — usiadł w fotelu i ponownie porównywał fotografię z glinianym modelem.

«Och, Puckie», skarżyła się stara Bruinowa przed malarzem, który przyszedł po swą codzienną kawę, «Zjula chodzi jak oszalały, mówić z nim nie można — ładne się tu rzeczy dzieją; ten obrzydliwy zmarły wierszorób — wskazała głową w kierunku otwartych drzwi pracowni — cały humor mu psuje!...» — «Szs! co to jest? Czy Julek w pracowni?» — «Nie! ale ja też coś słyszę — coś tam pada, tam ktoś jest... pójdę zobaczyć». — Powlokła się do pracowni. «O, Puckie! chodź tu prędko!» — «Co się stało?» — Stara stała w pracowni i wielkimi, wystraszonemi oczyma patrzyła na popiersie; kot skoczył był za myszką i w tym skoku przewrócił długi kij, który, padając, uderzył o głowę Mullera i w miękkiej jeszcze glinie wyłobił dołek... — «Ładna sprawa!» mrucał młody malarz, doprowadzając, o ile mógł, glinę do pierwotnej formy, «i to jeszcze było potrzebne!» — «Prędko! prędko! wyjdźmy stąd, słyszę Zjula na schodach... Masz, złap, rzuć tymczasem tę szmatę na niego, prędko! Co kramu z tem szkaradziństwem!» — W okamgnieniu siedzieli oboje z kotem w kuchni, jakgdyby nic nie zaszło. Z bojaźnią przyłuchiwali się, gdyż Bruin nie był sam, słyszeli, że z kimś rozmawiał... Stara Bruinowa nasłuchiwała, trzymając drzwi uchylone. «O!» rzekła wkońcu, «to nasz gospodarz domu...» Bruin stał w pracowni i mówił dość głośno: «Mój drogi panie Apels, ma pan zupełną rację — to bardzo przykro, że pana zawsze zawód spotyka, ale doprawdy nie jestem winien — tak obecnie trudno o robotę... Za jakie parę dni spodziewam się znów dostać pieniędzy, jak tę robotę...» spojrział na

popiersie, «któż, u diabła, zarzucił na to tę szmatę?» Zdjął płachtę i chwilę stał zdumiony na widok popiersia Mullera. Lecz zanim jeszcze słowo zdołał wymówić, gospodarz domu, wsgardliwym ruchem wskazując na figurę w glinie, rzekł: «To także był miły osobnik, ten Muller!» — «Hę, co? Pan mówi: Muller, czy mnie słuch nie myli?» — «Tak, Muller, czyż to nie on? Ja myślę, że to ten poeta, czy nie tak?» — «Tak, tak! ale...» — «Jak do przemówienia podobny». «No? no?» — «Uderzająco podobny...» — Bruin stał, patrząc to na popiersie, to na gospodarza, i nic nie mówił; miał uczucie, jakby mu kto balsam wlewał do uszu. Słuchał, a twarz jego rozjaśniała się coraz bardziej. — «Dobrze trafiony stary niedolega, winien mi jeszcze komorne za pół roku; nigdy grosza od niego nie można było wydostać, zato plotkami szafował bez iku, krzywonosy». — «Hę, co? O, hum! tak! tak! Krzywonosy, pan mówi!» — «No tak. Nos krzywy mu siedział na twarzy, zupełnie tak, jakś pan zrobił — djabelnie trafnie oddany, wygląda jak żywy. Bardzo pięknie!» — «O! tak! Dziękuję panu!» Bruin miał uczucie, jakby mu naraz wyrosły skrzydła...

Gdy pan Apels wyszedł, rzeźbiarz wszedł do sąsiedniego pokoju i zapytał ze śmiechem: «Powiedźcie mi, co się stało z mojem popiersiem podczas mej nieobecności?» — A matka odrzekła z wahaniem — zawsze lękała się jeszcze trochę o bezpieczeństwo kota: «Nieme stworzenie nie jest temu winne, Zjul; pewnie mysz tam siedziała...» i opowiedziała, jak się to stało; ale gdy zakończyła słowami: «Co za wypadek, hę, teraz jest nagle podobny!...» Puckie przemówił z wielką powagą: «Nie, moja pani kochana! To nie prosty wypadek, tu wmieszał się duch Mullera, który nie mógł znieść tego, by jego ziemską podobizna była wyobrażona tak fałszywie. Wierzy pani przecie w metempsychozę?» — «W co, Puckie?» — «W przejście dusz. Nie słyszała pani, jak dziwnie kot miauczał od kilku dni, a zwłaszcza dziś z rana?» — «Tak, zwierzątko było jakieś dziwne, ale myślałam, że to z gorąca». — «Nie, to były słodkie pieńnia poety, które przez kota przepływały niedobrze, na skok jednak duch Mullera miał jeszcze dość siły». — «Zamilknij już, łobuzie kochany, już dobrze, dobrze», śmiał się artysta i, przyniosłszy z pracowni fotografię, rzekł: «Patrz, przyjrzyj się dobrze, tego na tem się nie widzi, to przekłete rembrandtowskie światło zwodzi zawsze, żaden kot z tegoby nie zmadrał!» — «Nie? A mój Tommy?» triumfalnie zawołała stara Bruinowa, pobiegła po kota, miauczącego za kuchennymi drzwiami, i trzymając go w rękach przed synem, rzekła: «Zjul, możesz niememu stworzeniu podziękować. Tak, moje kociątko, moje miłe! Ty jedno masz więcej rozumu, niż wszyscy ci mądralę razem».

(Przekład bezimienny w «Humorze w lit. europ.», ułożonym przez Wandę Bruner.)

ALBRECHT RODENBACH

(1856—1880)

ŁABĘDŹ

Świeżością lustro niebios telnie,
Powietrze zdrowiem dyszy,
Dziewczo-piękny leży staw
W wieczornej letniej ciszy.

Gdy taki wokół spokój trwa,
Przez wodne sunie łany,
Na których słodko księżyc lśni,
Ptak — łabędź zadumany.

Pokochał poetyczny ptak
Tę świeżość wód dziewczęcą,
To kąpie, to przegląda się,
Plusków go dźwięki nęcą.

I kocha go bezwiednie staw,
Głaszeze mu białe pierze,
To chluśnie nań, to jego kształt
Odbity w siebie bierze.

Z wyrzeczeń i skromności — nieć
Zachwytu snując w duszy,
Ten czysto miłujący ptak
Dziewictwa nie naruszy.

Tłum. Alfred Tom.

POL DE MONT

(ur. 1857)

DOPÓKIŻ

Panie!
 Czy przymusu długie trwanie?
 Długoż jeszcze ludzkość cała
 Będzie ducha uginata
 Niewolniczo?
 Zewsząd krzyczą
 Wgłos strumienie krwi ohydne,
 Wszyskim widne,
 I po nocy nas dolata
 Krzyk rozpaczy Abła brata!
 Zemstą wionie świat w wsze strony,
 Rozpacz dławii matki, żony,
 Łzą sierocie, starcom nędzą

Głosy zemsty przez las pędzą;
 Z wschodu aż ku zachodowi
 Ucho zemsty okrzyk łowi.
 Grody spalone,
 Siola zburzone.
 Każdy gotów kapać chciwie
 Ręce swoje w zemsty żniwie!
 W tej wielkiej męce
 Ku Tobie ręce
 Wznoszą się z bólem, skargą i płaczem
 A głos zamiera, tylko cichaczem
 Z tej marnej ziemi płynie wołanie:
 Daj sprawiedliwość, daj zmiłowanie!

Tłum. Wł. Trajpczyński.

DRZEWA

Drzewa nie stoją nieruchome, drętwe,
 Jak pal, głęboko w ziemię zapuszczony...
 Nie są ciche, bez ruchu...! Nie, one idą,
 Idą — gdy dnieje, idą — gdy wieczór zapada,
 Idą — w najgęstszym mroku naszych nocy,
 Idą — wiosną i latem, jesienią i w zimie.
 Idą wszystkie... Zdala, tam — z morskich wybrzeży,
 Wzdłuż jezdnii i ścieżek, dróg piaszczystych, szosy
 Idą tu, długim podwójnym szeregiem,
 Jak pątnik znużony, z pochyloną głową,
 I na wschód zawsze: krzywe, spalone, sękaty,
 O twardem lyku, z trochę chudych gałęzi,
 Co wdół zwisają, chorowite, słabe...

I jak pątnicy, co jęcząc, śpiewając,
 Głosem gęgliwym mrużąc litanije,
 Ciągną — tak one idą, nie milcząc nigdy,
 Śpiewając wiosną, gdy w ich zieleniejących
 Liściach znów ptaki budują swe gniazdko;
 Wzdychając, kiedy żar letni ciężko jak olów
 Na osmalonych ich leży koronach;
 Płacząc jesienią, kiedy pierwsze burze
 Daleko w pole sypią ich gałęzie;
 Jęcząc w kąśliwie mroźne dni zimowe,
 Drżąc w swej zupełnej nagości, dygocąc,
 Tak jak żebrzący w łachmanach nędzarze...
 I — jak pątnicy, którzy gromadami
 W miesiącu maju idą męki drogą,
 W dłoniach sztandarki niosąc papierowe,
 Tak one wznoszą w dni wiosny i lata,
 Jak palmy, świeżą zielenią swych gałęzi...
 Jesienią podobne są zastępom rycerzy,
 Którzy w czerwonych i złocistych płaszczach
 Na polowanie ciągną. Jak ogień rubinów,

Płoną czerwone liście w żółtych i brunatnych
Koronach; krople złociste strzają
Z włosów, co wkoło nich fruwają i szumią,
I liśćmi swemi czarują, gdzie przejdą,
Na nagich drogach — kobierce ze Smyrny...

Lecz zimą często w ich szeregach miejsce
Niejedno puścicie... Patrz, oto śmierć rzuca,
Szturchając, pchając szorstko, jakiegoś pątnika
O ziemię, którą on mierzy, gdy pada...
Ale bez troski kroczą, niewzruszeni,
Dalej pątnicy — jeden po drugim,
Dalej i dalej przez niwy i puszcze —
Dokąd? Kto wie! Jak długo? Kto wie! Lecz zawsze
Wiernie ku stronie, kędy wschodzi słońce...

WETERAN Z POD WÖRTH

Wciąż mam to w myśli:

Pod Wörth dnia szóstego
Miesiąca sierpnia w owym roku krwawym.
Godzina szósta wieczór. Przebiegał
Pole bitewne, sprawdzając, czy może
Życie drga jeszcze wśród tylu nieżywych.
Nic — chłodne, nieme było wszystko wokół
I nieruchome, i jak w krwi skąpane.

Oto w chmielowem dostrzegliśmy polu
Obraz okropny: w istnem morzu krwi
— To pospolite są słowa, wiem o tem,
Lecz żadne inne nie wyrażą prawdy —
Leżał, przy czleku człek, cały bataljon
Sinych wojaków z krainy bawarskiej,
Nawznak, każdego twarz zwrócona wgórę — — — —
— — — — A tuż obok zmarłych,
Tuż obok krwi tej, nie — w samym jej środku
Leżał nieknięty, lśniąc świeżą zielenią,
Szmat łąki, długi ledwo na dwie stopy;
Nad nim kołysał się niepokalany
Kwiat maku — kielich jasnopurpurowy,
Z którego pszczoła, miodem upojona,
Wzniosła się, brzęcząc, i do dom frunęła. —
Pszczola i kwietny kielich ten tak wąły
Na wielkiem polu było to jedyne
Życie, przez dziką walkę oszczędzone.

Tłum. Alfred Tom.

HÉLÈNE SWARTH

(ur. 1859)

RADA

Nie całuj wargi, która ci się broni,
I nie ucz serca, gdzie żądze śpią zeicha,
Bić w takt nadziei; nie obudzaj licha
Ni wzrokiem sięgaj do modrych ócz toni.

Nie przyciskaj tak ciepło tej dziewczęcej dłoni,
 Nie otulaj ramieniem, kiedy ona wzdycha,
 Choć oko jej powabne na spojrzenia czyha.
 Życie daje — gdy myśl twa za zabawką goni.

Więc nie wzbudzaj miłości, gdy jej w tobie niema;
 Ręka jej drży, ucieka, choć ją w twojej trzyma.
 Podobna jest do płaków, co w strachu przysiadły.

Nie wywołuj rumieńca, gdy usta pobladły.
 Weź inne drzewo, z niego zerwij sobie liście,
 Jej pozwól białość lilij donosić wieczyście.

Tłum. Wł. Trąmpczyński.

ZABAWA W CHOWANKĘ

Obrazy dziecięctwa, choć już odległego,
 Wstają na wspomnienie starodawnej strzechy,
 Gdy zwykli się byli bawić w chowanego,
 Rozlewając wokół swe srebrzyste śmiechy.

Ulubionem ich miejscem były ciemne sienie
 Lub głąb korytarzowa, piwnica, śpichlerze,
 I snuli się wśród murów, jak przedzmroczone cienie,
 I długo ich szukano, choć szukano szczerze.

O, zabawo w chowanekę, śmiechu szczerooki!
 Któż nam dziś te dni zwróci, spędzone zamłodu?
 Najstarsza miała długie, jasne, miękkie loki,
 Takie, jak niegdyś króle z Merowingów rodu.

Jeden z dwu młodych chłopców bez przerwy był przy niej,
 I mówiono, widując te promienne twarze,
 Że nie żalby Pawłowi było i Wirginji
 Swą miłość i zaklęcia odstąpić tej parze.

Gdy, wzięwszy się za ręce, ta dwójka wesola,
 By skryć się przed tropiącym, umilkła nagle,
 Ona, w czystej prostocie, na schylone czoła
 Kładła złote swe włosy, jak rozpięte żagle.

POGARDA

Tak wysoko wzniosę duszę,
 Że nie stąd jej tknąć nie zdola.
 Nie, złorzeczyć się nie skuszę:
 Z wżgardą patrząc się dokoła.

Męstwa! Chociaż gad się szasta,
 W cieniu się niegodnym skryje,
 A ja będę, jak niewiasta,
 Co stopami depce żmiję.

Żmijo! Z błotem zejdz ze świata!
 Złość, nienawiść niech nie pała!
 Niż gniew, więcej wżgarda działa:
 Ta nie kąsa, lecz przygniata.

Tłum. Zdzisław Wilmir.

FREDERIK WILLEM VAN EEDEN

(ur. 1860)

Z «MALEGO JANKA»

...Janek ze ściśniętym sercem spojrział w stronę łóżka konającego ojca.

Kot Simon zeskoczył z okna, przeciągnął się — i położył do łóżka umierającego. Biedna, znużona głowa nie poruszała się już — leżała nisko, wciśnięta w poduszki — ale z półotwartych ust dobywały się jeszcze krótkie, urywane dźwięki. Stawały się coraz cichsze i coraz mniej dosłyszalne.

Śmierć oderwała wzrok od zegara i zwróciła go na zapadniętą w poduszki głowę. Podniosła rękę — i zapanowała cisza. Szary cień padł na sztywne oblicze. Cisza, głucha, ponura ciszał

Janek czekał i czekał. Miarowy dźwięk nie powrócił. Była cisza — wielka, straszna cisza. Napięcie ostatnich godzin przeszło. Jankowi się zdawało, że dusza jego oderwała się i zapadła w bezdenną pustkę. Zapadał coraz głębiej. Cicho i ciemno było dokoła niego...

Długo wpatrywała się ponura postać w Janka. Wzrok jej nie budził już przeżenienia — był łagodny i poważny; pociągał Janka, jak wielka głębia.

«Weź mnie z sobą», mówił Janek, płacząc, «teraz, gdy nie mam nikogo, zabierz mnie z sobą tak samo, jak innych; niczego tak nie pragnę...»

Śmierć potrząsnęła głową: «Nie, mój Janku. Nie wiedziałeś, że kochasz ludzi, ale ich kochasz i kochałeś zawsze. Zostać dobrym człowiekiem jest rzeczą bardzo piękną».

«Nie chcę. Nic nie chcę, prócz tego, byś mnie wzięła z sobą...» — «To być nie może i musi być inaczej wbrew twojej woli...» I długa ciemna postać rozplynęła się przed oczyma Janka w nieokreślone kształty, a lekka szara mgła przesunęła się przez pokój i popłynęła ku słońcu. Janek wsparł głowę na łóżku, na którym leżał zmarły, i płakał.

Po długim czasie podniósł głowę. Promienie słońca, jak równe złote pręty, wpadały do pokoju skośnie i miały czerwony odbłask.

«Ojczel Ojczel» — szeptał Janek.

Na dworze tonęło wszystko w błyszczącej złotej fali słonecznego żaru. Listki zwisały bezwładnie, i wszystko milczało, opanowane mocą słońca. A ze światłem wpadał do pokoju łagodny szmer. «Synu słońca! Synu słońca!» śpiewały Jankowi promienie słoneczne.

Podniósł głowę i słuchał. A w uszach brzmiało mu ciągle: «Synu słońca! Synu słońca!» Powojek go wzywał Tak, to Powojek! Nikt inny przecież, oprócz Powojka, nie mówił mu, że jest synem słońca!

Lecz w tej chwili wzrok jego padł na martwe oblicze — i nie chciał już nic słyszeć. «Drogi biedny ojczel» wyszeptał.

Śpiew zabrzmiał silniej. Dochodził go ze wszystkich stron. Zaczął go przenikać i przenikał coraz bardziej. «Synu słońca! Synu słońca!» Janek drżał z silnego wzruszenia.

Podniósł się i wyjrzał. Co za światło! Jakie wspaniałe światło! Oblewało bujne wierzchołki drzew, błyszczało w trawach, tryskało z ciemnych cieni i przepelniało powietrze po niebo samo, gdzie pierwsze wieczorne chmurki zaczęły się gromadzić. Po drugiej stronie miękkiej murawy, z za zielonych drzew i krzewów wyglądały wierzchołki wydm. Na ich szczytach błyszczało złoto, a ciemny błękit leżał w ich cieniach. Rozpościerały się spokojnie, okryte szatą najdelikatniejszych barw. Kontury ich zdawały się zlekka falować i, jak modlitwa, niósły mu ukojenie. I Janek doznał tego uczucia, co niegdyś — jak w owej chwili, gdy go Powojek uczył, jak trzeba się modlić.

Co to za postać błyszczy w mgle złotej? Czy to nie on, Powojek, w swej błękitnej szatce wzywa go do siebie? Janek wybiegł na słońce. Światło przenikało wszystko, i wielki był spokój.

Postać Powojka rysowała się wyraźnie. Tak, to był on! Ku Jankowi zwracał swą promienną złotowłosą główkę, usta miał nawpół otwarte, bo go wołał, i wyciągnął prawą rękę, bo go przyzywał. W smukłych palcach lewej ręki podnosił wysoko coś błyszczącego i mieniącego się w świetle.

Z radosnym okrzykiem porwał się Janek w stronę ukochanego zjawiska, które unosiło się przed nim z uśmiechniętem obliczem i wzywającym ruchem ręki. Dotykało chwilami ziemi, pochylając się naprzód powoli, to unosiło się nad nią zlekka, jak nasienie, wiatrem powiane.

I Janek chciałby się tak unieść, jak dawniej za tamtych szczęśliwych czasów i jak w snach swoich się unosił. Lecz ziemia przyciągała jego stopy, a krok jego ciężki lgnął do murawy. Z trudnością torował sobie drogę przez zarośla, których szleszczące liście muskały jego odzienie, a gałęzie biczowały go po twarzy. Zadyszany dosięgnął pochyłości wydmy. Szedł niezmordowanie, nie spuszczać z oka promiennej postaci i przedmiotu, który błyszczał w jej ręku.

Już był na środku wydmy. W rozżarzonych dolinach kwitły róże i patrzyły w słońce tysiącem swych białych kielichów. Kwitły także jasnyniebieskie, żółte, purpurowe i inne jeszcze kwiaty. Parne gorąco leżało w małych dolinkach i pobudzało zioła, by pachniały, a mocne balsamiczne wonie unosiły się w powietrzu. Janek wchłaniał zapach macierzanki i suchego mchu, który ugiął się pod jego stopami, i szedł dalej. Było odurzająco pięknie.

Przed ukochaną postacią Powojka latały wilżynki o jasnyniebieskich jedwabistych skrzydełkach i całe roje małych, czarnych i czerwonych, motylków. Dokola jasnej główki brzęczały zlociste żuki, które żyją na róży wydmowej, a grube trzmielce tańczyły wśród spalonej żarem trawy.

Cudownie było. Jakżeby był szczęśliwy, gdyby mógł być razem z Powojkiem! Ale jasna postać oddalała się. Biegł za nią bez tchu. Duże krzewy róż klęły go swymi cierniami; płowe welniste dziewanny pochylały długie głowy, gdy je w biegu nabok odsuwał; ostre trawy obrażały jego ręce, kiedy się wdrapywał na piaszczyste urwiska. Janek dążył i dążył. Przeciskał się przez niskie, gęste laski brzozy, w których trawa dochodziła mu do kolan, a wodne ptaki wzlatywały nad małymi stawami, które lśniły wśród zielonych zarośli. Gęsty, blade kwitnący glóg mieszał woń swoją z zapachem liści brzozy i mięty, która bujnie rosła na torfiastym gruncie.

Wreszcie zniknęły lasy, zieleń i barwne kwiaty. Tylko dziwny oset morski rósł w drobnej płowej trawie. Na szczycie ostatniego rzędu wydmy zobaczył Janek postać Powojka. W podniesionej prawej ręce trzymał coś oślepiająco błyszczącego. Z drugiej strony, od morza dochodził zimnym wiatrem niesiony tajemniczy i nęcący szum. Janek czuł, że się zbliża, i powoli wstępował na ostatni pagórek. Spojrzał na morze i padł na kolana.

Podniósł się, oblany czerwonym żarem wieczornym. Chmury zebrały się już na pożegnanie światła. Naksztalt ogromnych odłamów skał, oblanych czerwienią, otoczyły szerokim kręgiem zanikające słońce. Na morzu słała się promienna droga żywej purpury, wiodąca do dalekiego nieba. Poza słońcem, w głębi świetlanej groty, mieszał się delikatny błękit z czerwienią. Po całym dalekim niebie jaśniały czerwone, płomienne smugi i jasne plamki krwawego puchu gasnącego ognia.

Janek czekał, aż tarcza słoneczna dotknie ostatniego krańca wiodącej do niej drogi. Na początku tej purpurowej drogi zobaczył jasny obraz, za którym podążał. Na jednym brzegu przezroczystej, jak kryształ, łodzi widniała smukła postać Powojka ze złotym, błyszczącym przedmiotem w ręku; na drugim stała ciemna śmierć.

«Powojku!» zawołał i, zbliżając się do cudownego zjawiska, rzucił spojrzenie na drogę. Zatrzymał się. Od oddalonego jej krańca, ze środka świetlanego wnętrza, szła mała czarna postać. Rosła coraz bardziej, i Janek ujrzał człowieka, kroczącego spokojnie po burzliwej, ognistej wodzie. Czerwone, rozżarzone fale podnosiły się i opadały pod jego stopami, a on zbliżał się poważnie i cicho. Człowiek ten miał blade oblicze i oko bardzo głębokie, tak głębokie jak u Powojka. Lecz było w nim razem. Iyle nieskończenie łagodnej żalości, że Janek nigdy takiego wyrazu oczu nie widział.

«Kto ty jesteś?» — zapytał Janek — «czy jesteś człowiekiem?» — «Jestem więcej, niż człowiekiem!» odrzekł on. — «Czyś ty Jezus, czyś ty Bóg?» zapytał Janek. — «Nie wymawiaj owych imion», rzekł ten człowiek, «niegdyś były one czyste i święte, jak szaty kapłańskie, i słodkie, jak ziarno żywiące, lecz stały się blażeńskimi strojami dla głupców. Nie wymawiaj tych imion, albowiem sens ich stał się błędem, ich świętość stała się drwiną. Kto pragnie mnie znać, niech odrzuci od siebie owe imiona i wsłucha się w samego siebie». — «Znam cię, znam cię», odezwał się Janek.

«To ja byłem tym, który ci płakać kazał nad ludźmi, jakkolwiek nie rozumiałeś lez swoich. Ja to pierś twoją napelniałem miłością, której nie pojmowałaś. Byłem z tobą, choć nie widziałeś mnie, i ja to wzruszałem duszę twoją, pomimo że mnie nie znałaś». — «Dlaczego widzę cię teraz dopiero?» — «Bo wiele lez muszą wylać oczy, które mnie chcą zobaczyć. I nietylko nad sobą samym, lecz i w imię moje płakać powinienes, a ukazywać ci się będę i poznawać mnie będziesz, jak starego przyjaciela».

«Znam cię! — Poznają cię. Chcę być z tobą!» I Janek wyciągnął ku niemu ręce. Człowiek wskazał na błyszczący statek, który zwolna płynął dalej po ognistej drodze. «Patrz!», mówił, «tamta droga prowadzi do upragnionego przez ciebie celu. Innej niema, i bez tamtych obydwu osiągnąćbyś go nie mógł. Wybieraj zatem! Wielkie światło jest tam, i tam staniesz się tem, co poznać pragniesz. Tamtędy zaś», i wskazał ręką na ciemny wschód, «gdzie są ludzie i ich niedola, wiedzie moja droga. Nie błędny ognik, który zgasileś, lecz ja po niej prowadzić cię będę. A teraz, gdy wiesz wszystko, wybieraj!»

I Janek odwrócił oczy od wzywającej go postaci Powojka i wyciągnął ręce ku poważnemu człowiekowi. I poszedł za swym przewodnikiem w noc ostrą i wietrzną po trudnej drodze do dużego ponurego miasta, gdzie była ludzkość i jej bóle.

Być może, iż opowiem wam kiedyś dalszy ciąg historii o Janku, ale nie będzie już wtedy podobna do baśni.

Tłum. F. L. Lubdziecka.

LOUIS COUPERUS

(1863—1923)

KLEOPATRA

Niema, głęboka cisza panuje wokół.
 Niby gwiazda srebrzysta, drży światło
 W lampy kielichu białym z alabastru,
 Oliwa w woń się spala oszałamiającą.
 Połysk tak słabo srebrzy się, iż lekkich
 Nie płoszy cieni, tylko je niebieszczy...
 Z poduszek łoża, zdobionego złotem,
 Podnosi oto się królowa, pierś swą nagą
 Prostując, i o rękę, smukle zokrągloną,
 Opiera ją — znużona... Jej migdałokształtne,
 Czarne, jedwabne oczy ślą w rozmarzeniu
 Słabe promyki poprzez rzęs zastonę.

Czarny jej włos, skroś przepojony mirrą,
 Stargawszy ucisk sznurów perel, taluje,
 Nito płynny ebonit, po brunatnozłotym
 Bujnym jej biuście, i leją się perły,
 Kropla po kropli, z głębi jej kędziorów,
 Nieruchomiejąc w krwawych rubinach
 Łańcucha, co okala szyję jej wysmukłą.
 Kwef purpurowy, jak przetkany szychem,

Oslania, niby mgła przejrzysta, jej członki,
Złoto ich cieniuąc połyskiem różowym,
A przytrzymuje go pas, obciążony
Kamieniami drogiemi...

Śniąc o śmierci bliskiej,
Na swoim Kleopatra podnosi się łożu
I wzrokiem, idącym już z dali, spoziera —
W koszyczek kwiatów, co u stóp jej kwitnie.
I nagle gładkie wyciąga swe ręce,
I nurza w kwiatach (a z jasnych jej palców,
Zda się, kroplami woń na woń się sączy),
Aż wkońcu błednie, ale się nie wzdryga...

Wtem zwinnie wstaje z swej wonnej pościeli —
Z błyskiem roztronym w oczach i jęczyzkiem,
Tak cienkim i śpiczastym, jak igła ze złota —
W ślicznych zakrętach szmaragdowa żmija
I, pełznąc wolno, z syczeniem cichutkiem,
Na chłodnym, zwilgłym brzuchu sunąc coraz dalej,
Okręca się wokół ramienia jej, jak klanra...
I sznur szmaragdów ciągnie się niebawem
Pośrodku peret i krwawych rubinów,
O jeden klejnot więcej, którym, ot, królowa
Się przystroiła...

A owa pieśń woni
Na wątłych się skrzydłach wznosi, jak marzenie rajskie,
I odorza, i wizje śle czarowne
W światło gwiazdziste, co tu z lampy płynie...

Tłum. Alfred Tom.

HERMAN HEYERMANS

(1864—1924)

Z «NADZIEI»

(W ubogiej holenderskiej izbie rybackiej u wdowy Kniertje; Geert — jej syn, Klemens Bos — szyper, właściciel statku «Nadzieja».)

Bos: Jeden twój syn nie chce jachać, a drugi — jeszcze gorzy...

Geert: Panie Bos! na pokładzie jezdem marynorzem, ale tutaj robie, co my sie podobo. Takigo szypra, któremu to abo owo nie jest recht, który węszy pod oknawy i podsluchuje piesneczek, co mu sie nie widzom — wi pon, panie Bos — —

Bos: Rób, jak chcesz — ale to ino ci powiadom, że marynorz, który mo sie żenić — ten powinien być rod, że mo pryncypola, który mu jest życzliwy. Twój ojciec godny był człowiek i nigdyby sie nie odwożył, żeby jaż grozić szyprowi. Wy mokro mota pod nosem, ale siwych włosów to nie uszanujeta.

Geert: Rychtusinek! Znowu kozanie. Nie szanuje siwych włosów? szanuje, ino nie waszych. A chociaż pon zaczon od małego, to teraz mosz pon dostatki — jezdeś pon tyran — rozumisz pon, panie tego — —? (*Bos chce coś odpowiedzieć*) A jagże — pon, panie Bos, juści ta może nie jezdeś gorszy pon, panie Bos, od innych — a mój ociec, pewnie, że inakszy był człowiek. Ale my som teraz inne ludzie. Myślisz pon, panie Bos, że jo sie przemienił bez te gazyty i książki, którem potajemnie czytywoł przy marynie? Niel pon, panie Bos, someś my oczy otworzył — od malenkości. Bedzie temu dwanoście lot. Przyszedeł do kantoru dowiedzić sie, co sie stało z ojcem. Pon, panie Bos, siedzioleś przy groku, przy piecu, przy kasie z pieniądzamy — a jezdeś odniedowna byleś szypreł — pon, panie Bos — — przeklinoleś mnie, że niby wszysce przychodzili sie dopytywać o to samo. A pon wiedzioleś to, panie Bos, od

kilku dni, że mój ociec się utopił, że się moi bracio potopili — aleś nom, panie, tego nie powiedział — inoś jeszcze pyskował, panie Bos...

Bos: Kłamiesz! tegom nie zrobił.

Geert: Pon to zrobileś — jo to powiadom! Zapamiętałem to sobie — — — Tak, mój ociec miał siwe włosy — a moja matka mo siwe włosy — —

Bos: To, co godosz — nimo ani ręki, ani nogi. A teraz ci coś powiem: mosz matke — chcesz się żenić — i owszem! Siedzioleś sześć miesięcy — — — (*Poruszenie u Geerta*) Jo o tem nie mówiel! Obrazilęś mnie w swoim własnym domu — możesz na to patrzeć, jak ci się widzi — a to ci powiadom — żeli bedziesz my takie żarty strojł na «Nadziei», to wiesz, jakie som przepisy — —

Geert: Wi to każdy dzieciok przy pypce.

Bos: A jak bedziesz starszy, to się bedziesz wstydzil swoich bezczelności! Szyper przy groku, przy piecu — —

Geert (*szycząc*): — — i przy kasie z pieniądzamy — —

(W tej samej izbie; na stole pali się lampa; za sceną wicher i huk morza. Obecne: Marjetje, córka cieśli okrętowego, narzeczoną Meesa, Jo, narzeczoną Geerta, Klementyna, córka szypra Bosa, na którego zmurszałym statku «Nadziei» znajdują się wśród wielu innych obadwaj ci młodzieńcy, Saartowa, wdowa po rybaku.)

Saartowa (*do płaczącej Marjetje*): Lepi wej naliż kawy... Co jeszcze ryczysz? Ona ino jednem ciągiem myśli o swoim Miesiu.

Marjetje: Nie — teraz myślałam o moim nieboszczyku bracie, że ón tyż — — —

Jo (*nerwowo*): Widać, że wom to robi przyjemność — —

Klementyna: Czy to nie było także przy połowie śledzi?

Marjetje (*robiąc pończochę*): To była jego drugo jazda. Jedno uderzenie rejom — i po nim. Trzy razy podował mu kapiton szuffe od śledzi, trzy razy jom łapoł — trzy razy puszczoł — Pon Bóg chciol go zabrać do siebie — i tak zginął.

Klementyna: Strasznie! Trzy razy chwytać i trzy puszczać.

Marjetje: I ón to przeczuwoł. Kapiton powiada, że całom noc plakoł, bo matka była choro, a ón go chciol pocieszać. A ón powiedział: «Nie, panie kapiton, choć matka wyzdrowieje — to jo dzisiaj jem swojigo ostatniego śledzia». — — Wtedy ociec zaczon pić.

Klementyna: Ach, nie!

Marjetje: Tak, panienko! Jak ociec, który był przy tem, przyniós zarobek brata do domu — osiemnoście złotych i trzydzieści pięć groszy — tak był, mówie wom, jak pomieszany! Piniądze cisnuł na zimie i przekliñoł na czem świat stoi. — Jo piniądze pozbiarałam, bo nom się bardzo przydały — choroba matki — pogrzyb — to wszystko okropnie kosztowało — no a osiemnoście złotych to je bardzo wielgi piniądz — —

Jo: Osiemnoście złotych za dziecko — — osiemnoście — — — (*Silne uderzenie wiatru.*) Cicho!...

Saartowa: Nic się nie stało... Co się tak lękosz dzisiaj?

Jo: Lękom?... Jo się lękom? Nie!... hahaha!... Jo się lękom, wicie!...

Kniertje (*do Klementyny*): Jo, jo! jakby tak woda umiała godać... Ach, panienko — życie na wodzie, to nie żodne rozkosze. Człowiek oddzielony je od wieczności o jeden włos... Ciężko je chłopom, ciężko je i kobitom. Wczoraj przechodziłam kole ogrodu wójta — siedzieli przy stole i jedli ryby — gorące, że ino tak parowało — a wątróbka leżała osobno — a dzieci siedziały ze złożonymi rączkami i modliły się. Takem sobie pomyślała w swoi prostocie, że to nieładnie — Boże my odpuść grzech — żeby wójt abo inni — takem sobie myślała — bo straszno była wichura — a przecie ryby pochodzom z tego samygo morzo, gdzie są nasze nieboszczyki — — (*Cisza*) Pewnie, że to je głupstwo tak myśleć — to je przecie los wszystkich kobit ryboków — a przeciw losowi powstawać nimożno. — Jo! Jo! Te ryby drogo kosztujom... Panienska płacze?

Klementyna (*wybuchając płaczem*): Ach, Boże! — żeby tylko dzisiaj jaki statek nie zginął!...

Kniertje: My wszyscy jezdema w ręku Boga... Bóg je wielgi i dobry.

Jo (*oburzona*): Statek mo zginać? Jedno beczy, drugo beczy — — byloby my lepi, żebym była została dzisiaj wieczór sama! (*Bijąc się pięściami po głowie*) A dy wy możeta człowieka doprowadzić do warjacyi — do warjacyi — — —

Klementyna: Co ci się stało?

Jo: Ta ze swoim chłopem — — — ta ze swoim bratem — — — ta za moim bidnym pociotkiem — — a przekłete historie! — — Miasto człowiekowi dodać otuchy — — czemu się nie spytacie i mnie? Mój ociec także utónuł — — — utónuł — — — utónuł — — — utónuł — — i inni potónyli — — Jezdešta szuje — — — Jezdešta — — — (*Zatrzaszkuje drzwi za sobą*).

(Kantor staroświecki; na przodzie biurko z telefonem, w głębi kasa wertheimowska, na ścianach plakaty, mapy etc.)

Bos: Nimożesz to pukać?...

Kniertje: Chciała...

Bos (*opryskliwie*): Przychodzisz pięć minut za późno. Ta dzieucha, co u ciebie mieszko, takiego narobiła tutej hałasu, że o mało co nie telefonowałem do żandar-mów. (*Grubjańsko*) Właż...

Kniertje: Czy to prawda — — — czy to prawda... pon pastor powiada — — — (*Bos potakuje*) O! o!... (*Patrzy przed siebie ostupiałym wzrokiem, rękę jej opadają ku ziemi.*)

Bos: Ciebie — ciebie my żol. Twojigo męża tyż, jezdeś porządno kobita, ale twoje dzieci — — przykro my, że teroz ci to musze powiedzieć — — twoje dzieci i ta twoja krewniczka — óne nigdy nie nie były worte. Ile to lot chodziłaś do mnie na robote — jaż dopiro przyszło do tego, że mnie twój syn Geert zaczon grozić... no a twój drugi syn — — (*Kniertje pada omdlała na krzesło przy piecu*) Knier... Kniertje!... (*podchodząc do niej*) Wody! (*nacierając jej skronie*) A niech to wszystko — djabli!...

Kniertje (*tkając*): Ón nie — — — chciół... nie chciół iść... i jo go mojemy własnemy rękamy — — — własnemy rękamy oderwałam od drzwi — — —

Bos: Nie potrzebujesz sobie robić wyrzutów.

Kniertje: Jeszczem mu koleczyki ojca... założyła... niby temu jagniątku, co idzie na ochfiare — — A z moim najstarszym — — tom sie nawet nie pożegnała... «Jak przydziecie za późno, to już wos, matko, nie zobacze nigdy — — nigdy» — po-wiedziół.

Bos (*wzruszony do głębi*): Przestoń — przestoń — — wolo Bożo...

Tlum. Jan Kasprowicz.

ALBERT VERWEY

(ur. 1865)

MISTERJA GWIAZD

Niezrozumiała, cudną pieśń
Śpiewają gwiazd miljony,
Lecz jakiś magik, w polu śpiąc,
Uchwycił raz te tony.

Kołysek on nad Tybrem miał
I, śniąc swe sny urocze,
Widział, jak gwiazdy płyną doń
I chyła swe warkocz.

Samotny ujrzał w cichą noc
Mruganie gwiazd w eterze,
Więc spisał pieśni cudny ton
Znakami na papierze.

Gdy rankiem ciemność zламаł świt
I weszło słońce rano,
Przed sobą próżny spostrzegł trud,
Zagadkę niezbadaną.

I odtąd szukał magik wciąż
Tych znaków, ach! zakłęcia,
I szukał nocą, szukał w dzień —
Ha! próżne przedsięwzięcia!

A gdy umierał, cicho rzekł
Słów kilka gwiazdom w niebie;
Wtedy to on czarowną pieśń
Usłyszał wokół siebie.

Lecz odtąd wiecznie ludzka myśl,
 Gdy gwiazdy ciągną blade,
 Chce poznać dziwną znaków treść
 I śpiew ów, tę szaradę.

Płynący z góry lekki wiatr
 Ma cudne tony w szumie,
 Słyszy je każdy, ale nikt
 Ich treści nie rozumie.

Tłum. Wł. Trąmpczyński.

ZIEMIA

Gdybym nie kochał ciebie tak, ma ziemio,
 Czyżby się we mnie zrodziło marzenie,
 By ujrzeć w jednym obrazie strumienie,
 Góry, doliny z stawami, co drzemią!

Dzieckiem już ciebie szukałem, ma ziemio,
 Chcąc znać cię całą: jak mgła rzuca cienie,
 Chmury — noc czarną, a słońce — promienie;
 Znać twe lianosy, gdzie trzody się plemią,

Jedynie lassem kielzane, i kraje,
 Gdzie wśród zieleni mkną potoki srebrne,
 I las szumiący, i góry podniebne,

I morze, co się za brzegi dostaje:
 Dzieckiem całąm cię widział — aż oniemiał
 Mroki mnie grobu, czcić będę cię, ziemio!

Tłum. Alfred Tom.

Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.